

**LUDWIK MARIAN
KURNATOWSKI**

**SALONOWY
BANDYTA**

Ludwik Marian Kurnatowski

Salonowy bandyta

Saga

Salonowy bandyta

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1935, 2020 Ludwik Marian Kurnatowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

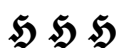
ISBN: 9788726464849

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont



Opowieść poniższa nie została zaczerpnięta z bujnej wyobraźni literata, lecz jest osnuta na prawdziwym, niewypaczonym przez „sztukę”, życiu.

Przed laty kilkudziesięciu mieszkała w staromiejskiej dzielnicy Warszawy we własnej posesji na Krzywym Kole drobnomieszczańska rodzina Rudyckich, składająca się z ojca, matki, dwóch córek i jedynaka – małego wówczas Józia. Rodzice byli to ludzie skromni, bez fałszywych pretensji, na wskroś religijni i spodziewali się, że także ich dzieci wyrosną na ludzi prawych i pożytecznych członków społeczeństwa. Jakoż obydwie córki wyszły za mąż za dzielnych ludzi, pozostając w swej sferze, stwarzając tradycyjne mieszczańskie ogniska rodzinne. Co do syna jednakże, to miał on stać się zakałą ich rodziny i źródłem nieustannych zgryzot. Józiek od najwcześniejszych lat zdawał się do najwyższego stopnia lekceważyć bogobojne zasady, panujące w domu jego zacnych rodziców. W szkole początkowej, jak również w gimnazjum uczył się źle, czując prawdziwą niechęć do nauki, czy też rygoru szkolnego, przepadając natomiast za „wagarami” nad Wisłą w towarzystwie najgorszych łobuzów. Męty społeczne i karty dały mu pierwszą szkołę życia. Nadmienić należy, że jeżeli ku zmartwieniu swego ojca przynosił ze szkoły stopnie niedostateczne, to nie dla braku zdolności, był bowiem niezwykle pojętny i bystry. Uważał po prostu, że na naukę szkoda jest czasu, który przecież można było przepędzić nierównie przyjemniej. Dzięki wszakże swojej niezwyklej bystrości i zdolnościom, zdołał prześlizgnąć się przez gimnazjum i uzyskać świadectwo dojrzałości, po czym zapisał się jakoby na Uniwersytet Warszawski, ale – poczuwszy, że popuszczono mu cugli – zaniechał rychło nauki, całą duszą oddając się zabawie i nieokiełznanym

hulankom. Bardzo łatwo przyswoił sobie dobre maniery, wrodzona zaś inteligencja pozwoliła mu zaznajomić się z tysiącem tych szczegółów i szczegółików, jakich zwykło wymagać towarzystwo od młodzieńca z tak zwanych „lepszych sfer”. Swobodne, niewymuszone zachowanie i nieprzeciętna uroda jednały mu wszystkich, nawet niechętnych.

Po skończeniu gimnazjum młody Rudycki nie kwapił się z wynalezieniem sobie zajęcia. Stary ojciec, jakkolwiek daleki od zamożności, dawał mu dach nad głową i utrzymanie, a nierzadko i pieniądze, o które wesoły synalek potrafił czasami natarczywie się dopominać. Młody człowiek lubił ubierać się starannie, nawet z pewną dyskretną wytwornością, która kosztuje zwykle najdrożej. Skąd czerpał pieniądze na swoje duże potrzeby, o tym nikt z jego bliskich nie wiedział. Był przy tym prawdziwie pięknym mężczyzną. Wysoki, zgrabnie i silnie zbudowany, o cerze śniadej, ciemnych włosach i czarnym, przystrzyżonym wąsiku o szlachetnie wykrojonym orlim nosie i pysznych wyrazistych oczach, oprawionych w ciemne brwi i rzęsy, stanowił młody Rudycki typ wspaniałej męskiej urody, zaś wytworne maniery pozwalały mu znaleźć się zawsze na miejscu, chociażby w salonach arystokracji.

Jakkolwiek cny Józio czuł prawdziwy wstręt do pracy, głosząc z przekonaniem zasadę, że „choć praca nie hańbi, ale z pewnością nie uszlachetnia”, to jednakże rozumiał, że jeżeli chce zachować chociaż cień autorytetu w świecie, w którym się obracał, powinien postarać się koniecznie o jakieś stanowisko. Przy tym, stały dochód z tego źródła nie był także do pogardzenia.

Zaczął tedy młody Rudycki rozglądać się za czymś dla siebie odpowiednim i wreszcie znalazł, czego szukał.

W okolicach placu Krasińskich mieszkał pewien pokątny doradca, Żyd z pochodzenia, człowiek obrotny i wymowny, znający na wylot kodeks karny wraz ze wszystkimi jego niedomaganiem i przeoczeniami.

Do tego to szczywanego lisa udał się Józef Rudycki i z wielkopańską miną zaofiarował mu swoje usługi. Jakkolwiek pseudoadvokat pomocnika nie potrzebował, to jednakże oczarowany powierzchownością i manierami Rudyckiego, wężąc w nich dobry dla siebie interes, przyjął go do swej kancelarii w charakterze urzędnika. Jakoż instynkt nie omylił go, bezpośrednio bowiem po objęciu przez Rudyckiego posady, poczęli zgłaszać się liczni klienci z prośbami o przeprowadzenie obrony w najrozmaitszych sprawach kryminalnych. Nadmienić należy, że obrońców miał prawo stawania w sądach. Niezmierny napływ tych spraw, jak się później okazało, zawdzięczał Rudyckiemu, który – mając kontakt z elementami przestępczymi – kierował do swego patrona swych podejrzanych kamratów, nad którymi zawisła groźna ręka sprawiedliwości. Dopiero ten szczegół wyjaśnił w późniejszym śledztwie, skąd obiecujący Józio czerpał niewątpliwie zasoby na wytworną garderobę i możliwość odgrywania kosztownej roli pana. Pryncypał, widząc taką korzystną zmianę interesów, chętnie podwyższał kilkakrotnie jego pensję miesięczną, nie szczędząc mu specjalnych premii od każdej nowej sprawy, wobec czego dla młodego hulaki zaczęły się złote czasy. Mając w bród pieniędzy czerpał ochoczo z życia wszelkie jego niebezpieczne rozkosze. Był oczywiście stałym bywalcem kabaretów i teatrzyków ogródkowych, wśród których specjalnymi jego łaskami cieszyły się Eldorado i znany z dwuznaczej sławy Château des Fleurs. Kabarety te (dzisiaj zresztą nieistniejące) były ulubionym terenem nieokiełznanых hulank młodego Rudyckiego, czującego się najswobodniej dopiero w towarzystwie ogródkowych aktorek i kobiet, które swych obyczajów żadną miarą nie mogłyby nazwać czcigodnymi.

Jednakże – dziwna rzecz – nieprzespane noce, alkohol i nieumiarkowane stosunki płciowe zdawały się nie pozostawiać najmniejszego śladu na Rudyckim, który zmęśniał jedynie i można by rzec wypiękniał jeszcze. Natomiast hulaszczy tryb życia pociągał za sobą

ogromne wydatki i Rudyckiemu coraz częściej poczynało braknąć pieniędzy. Nie wystarczały już ani pensja, ani prowizja od zgłaszanych do kancelarii spraw. Młodemu hulace zaczynało być duszno. Niewiele tedy myśląc, zażądał od swego patrona, aby go przyjął za współnika z prawem do połowy dochodów z kancelarii. Jednakże szef daleki był od zaakceptowania tej propozycji.

W ogóle od pewnego czasu myślał już tylko o tym, jakim sposobem mógłby uwolnić się od swego pomocnika, który zaczynał już zanadto ciążyć jego kieszeni skutkiem nieustannych i wielce natrętnych żądań coraz to nowych pożyczek, a który z czasem mógłby stać się nawet niebezpieczny. Jakoż, gdy niezaspokojony Rudycki począł swemu chlebobdawcy grozić denuncjacjami i szykanował go w najrozmaitszy sposób, ten zdobył się któregoś dnia na stanowczy krok i bezapelacyjnie wymówił mu zajęcie.

Młody człowiek bynajmniej nie rozpaczał, wiedząc, że da sobie radę. Było mu wprawdzie żal tytułu „mecenasa”, którym go częstowano wśród ogródkowej cyganerii, w restauracjach przez kelnerki i kelnerów itp.

Jednakże, aby nie porzucać dotychczasowego życia, które mu mocno zasmakowało, należało pomyśleć energicznie o zapewnieniu sobie stałych dochodów. W tym czasie żerowali w Warszawie czterej lichwiarze, będący prawdziwymi pijawkami społeczeństwa. Byli to Abram Siten, Nikodem vel Noech Erlich, Abram Flaumenbaum i Abram Brzezina. Było to małe, ale dobrane towarzystwo, złożone z ludzi o miedzianym czole i nieczułym na ludzką krzywdę sercu. Osobnicy ci nie nazywali się sami doradcami prawnymi, ale zajmowali się wyłącznie lichwą i skupem weksli, uważanych za przepadłe, które nabywali rzecz prosta za bezcen, aby je później umiejętnie a bezwzględnie egzekwować, zabierając nieszczęsnym dłużnikom ostatnią chudobę i wyrzucając ich niejednokrotnie na bruk. Należy przyznać, że administracyjne władze rosyjskie starały się jak najbardziej obrzydzić im życie, ale pasożyty te

trzymały się uporczywie społeczeństwa, na którym żerowały i tylko jeden z nich, mianowicie Nikodem Erlich, któremu w kleszczach ówczesnego oberpolicmajstra generała Klejgelsa zaczynało już braknąć tchu, wolał opuścić teren swej niebezpiecznej działalności i – wycofawszy się z interesów oraz spieniężywszy swe nieruchomości – przeniósł się do Paryża, gdzie znano go jako szanowanego powszechnie dla swego bogactwa rentiera.

Do takich to pijawek zwrócił się nasz „mecenas”, ofiarowując im swoją cenną pomoc. Przyjęty oddał im nieocenione usługi swą energią i bezwzględnością. Umiejętnie wyszukiwał interesantów, z całą gotowością asystował komornikowi w jego niewdzięcznej pracy, ciesząc się w zamian niezłymi dochodami i zadowoleniem swych patronów. Rzecz prosta, że lichwiarze ci mieli do czynienia nie tylko ze sferami najuboższymi, niejednokrotnie egzekwowano weksle również u ludzi zamożniejszych, których w rozpaczliwe położenie wtrąciło nieszczęście. Otóż podczas takich egzekucji zaczęły ginąć rozmaite cenniejsze przedmioty. Ponieważ mocodawcy Rudyckiego mieli głębokie przekonanie, że winowajcą jest nie kto inny, tylko właśnie ich pełnomocnik, przeto – chcąc uniknąć za wszelką cenę zatargów z władzami, które i tak zaledwie ich tolerowały – woleli pozbyć się Rudyckiego, wypłaciwszy mu przy rozstaniu poważne odszkodowanie za utracone zajęcie.

Nasz młodzian znalazł się znowu bez stałych dochodów. Był on już żonaty w tym czasie i to od kilku lat, ożeniwszy się nader wcześniej z młodą i uroczą osobką, z którą miał czworo dzieci. Rodzina jego mieszkała przy starych Rudyckich na Krzywym Kole, a zacny mąż i tatuś pędził niefrasobliwy żywot hulaki. Łatwo domyślić się, co ta skromna i cicha kobieta wycierpiała od swego bezwzględnego i pozbawionego wszelkich skrupułów małżonka.

Straciwszy zajęcie u Sitena *et consortes*¹, nie zaniechał Rudycki swego dotychczasowego trybu życia. Zmienił tylko teren na inny, mniejszych wymagający wydatków. Obracał się teraz przeważnie w sferach teatralnych, nadskakując artystkom, flirtując na zabój i budząc swą przepyszną powierzchownością niejedno serce niewieście do prawdziwej miłości.

Poznał był w tym czasie niejaką pannę R., adeptkę dramatyczną, młodą i wielce przystojną dziewczynę, pochodzącą ze znanej rodziny ziemiańskiej, zmuszonej przez przeciwności życiowe porzucić rolę i osiedlić się w Warszawie. Panna R. mieszkała razem z ojcem, matka bowiem już nie żyła. Poznawszy Rudyckiego rozkochała się w nim bez pamięci. Do ojca, który starał się wyperswadować jej tę niefortunną miłość, poczuła gwałtowną niechęć i, wyprowadziwszy się od niego, zamieszkała sama, nie chcąc, aby ktokolwiek stawał pomiędzy nią i ukochanym. Dopóki dziewczyna miała pieniądze, nasz mecenas bez teki okazywał jej gorącą miłość. Ale gdy zasoby panienki zaczęły się kończyć, dał jej niedwuznacznie do zrozumienia, że powinna pomyśleć o zarobku. Gdy spojrzała nań pytająco rozszerzonymi ze zdumienia oczami, oświadczył jej wręcz, że młodość i uroda są kapitałem, który może im obydwójgu przynieść przyzwoite dochody w procencie. Jak widzimy Rudyckiego nie można by nazwać człowiekiem przesądów. Nieszczęsna dziewczyna, kochająca głęboko swego nikczemnego kochanka, maltretowana przez niego i nagabywana ustawicznie o pieniądze, zgodziła się wreszcie na to, czego chciał Rudycki i zaczęła się sprzedawać.

Wyrzutek ten nie gardził jednocześnie również innymi cuchnącymi zarobkami. Zaopatrzywszy się w fałszywe dokumenty, zaczął operować jako agent obyczajowy wśród kobiet publicznych, szantażując je i wymuszając łapówki. „Pecunia non olet...”². Istotnie dla Rudyckiego żaden pieniądz nie cuchnął, wystarczyło mu, że mógł go zamienić na

pewną sumę rozkoszy, bez której nie wyobrażał już sobie życia. Policja skutkiem ciągłych skarg prostytutek wpadła na trop szantażysty i aresztowała go wreszcie. Sprawa została przekazana władzom sądowym, ale Rudycki, jak ów kot spadający zawsze na cztery łapy, potrafił uniknąć kary. Podobno nie znaleziono przy nim fałszywej legitymacji, co było jego dużym atutem, gdyż mógł zarzucanej mu winy wyprzeć się w żywe oczy.

Prócz panny R., miał Rudycki inną jeszcze przyjaciółkę, pannę Piotrowską, mieszkającą jako sublokatorka u właścicielki dużego magazynu mód na Nowym Świecie. Odwiedzał ją często, niemal codziennie, a ze względu na osobę pani domu, przychodził w charakterze ciotecznego brata Piotrowskiej, która naturalnie świata poza swym kochankiem nie widziała. Zaiste, człowiek ten nie mógł uskarżać się na brak powodzenia u kobiet... Rzucił jakiś dziwny urok na wszystkie niewiasty, starsze, młodsze, czy nawet podlotki, a każda byłaby przysięgła, że to tylko ona jedna jest tą wybraną!

W owym magazynie mód, znanym w Warszawie z wykwiutnego kroju i starannej roboty, ubierała się zamożniejsza klientela ze sfer plutokratycznych i arystokratycznych. Ubierała się tam również baronowa Bülow z córką.

Baron von Bülow był to Niemiec od szeregu lat osiadły w Polsce. Ożenił się z rodowitą Polką, podbity jej niezwykłą urodą. Baronostwo zajmowali pałacyk przy Alejach Ujazdowskich, trzymali konie, powóz, liczną służbę, słowem żyli na pańską stopę, będąc istotnie wielce majątni. Mieli czworo dzieci: trzech synów i córkę jedynaczkę, słynną w Warszawie ze swej urody pannę Krystynę.

Pewnego razu piękna baronówna udała się w towarzystwie guwernantki na Nowy Świat do magazynu, gdzie zwykle ubierała się. Na odgłos dzwonka drzwi otworzył im jakiś młody człowiek o ujmującej powierzchowności. Był to Rudycki, który ubrany w płaszcz zamierzał

właśnie wyjść. Ukłonił się w milczeniu wchodzącym paniom, przy czym wzrok jego skrzyżował się z oczami baronówny. Młoda dziewczyna odczuła dziwny, nieznany jej jeszcze do tej pory wstrząs w swym niedoświadczonym serduszku. Zmieszanie dziewczęcia nie uszło uwagi Rudyckiego, który postanowił dowiedzieć się koniecznie, kim była ta śliczna, płoniąca się pod jego spojrzeniem panienska. A jeśli gra byłaby warta świeczki, to czemuż nie spróbować szczęścia?

Zuchwały awanturnik miał wiele atutów, toteż mógł liczyć na powodzenie. Przede wszystkim przy pracowni, którą odwiedzała baronówna, mieszkała jego przyjaciółka Piotrowska, był zaś u niej, jak wspomnieliśmy, częstym, niemal codziennym gościem. Właścicielka zaś magazynu miała go za bardzo przyzwoitego młodego człowieka. Przy równie sprzyjających okolicznościach poznanie panny było dla takiego franta jak Rudycki drobnostką. Dowiedziawszy się przy tym, że śliczne zjawisko jest jedyną córką bogatych baronostwa von Bülow, postanowił nieodwołalnie skorzystać z okazji, którą mu los sam dawał w ręce, a więc rozkochać w sobie młodą dziewczynę, a gdy już nią zawładnie, ciągnąć od jej ojca przy pomocy szantażu odpowiednie dochody.

Rudycki dopilnował, kiedy baronówna przyszła do następnej miary i – znalazłszy się niby przypadkowo w salonie – został jej i nieodstępnej jej towarzyszce przedstawiony. Pierwszy zasadniczy krok został zrobiony, reszta zależała od jego sprytu. Nasz młodzian był już pewien powodzenia, bowiem w swoje zdolności, jak również w swój urok nie wątpił ani chwili. Jakoż już w pierwszej rozmowie potrafił oczarować niedoświadczoną dziewczynę, jakkolwiek ze względu na niepowołanych świadków był w miarę dyskretny i powściągliwy. Ale czyż oczami nie można wyrazić wiele rzeczy, o których muszą milczeć usta? A Rudycki miał takie przepyszne, wyraziste oczy... Wyrafinowany uwodziciel postarał się również i na towarzysze baronówny wywrzeć dodatnie wrażenie, jakkolwiek była nią zwyczajna *dame de compagnie*³. Mogło

mu to przydać się w przyszłości. Od czasu do czasu wtrącał w rozmowie pozornie od niechcienia jakieś znane nazwisko ze sfer arystokratycznych lub ziemiańskich. Ludzie ci w zręcznym opowiadaniu Rudyckiego byli jego przyjaciółmi, kolegami etc. Potrafił przy tym dowiedzieć się, w jakich godzinach baronówna zwykła wychodzić na spacer, kiedy bywa u krawcowej, w które dni odwiedza teatry i jakie, jednym słowem zebrał nieznacznie najważniejsze dla siebie wiadomości. Nie trzeba chyba dodawać, że podczas pierwszego od czasu tej rozmowy spaceru w Alejach Ujazdowskich baronówna spotkała Rudyckiego. Od tej pory widywali się niemal codziennie, nietrudno więc było takiemu szczwanemu wytrawnemu frantowi, jak Rudycki, usidlić niedoświadczone serduszko panienki. Nieodstępna towarzyszka baronówny nie mogła mu w tym być przeszkodą, przynajmniej na razie, uważając bowiem Rudyckiego za człowieka z najlepszych sfer towarzyskich, usuwała się przy jego zbliżeniu dyskretnie w cień, pozostawiając młodej parze zupełną swobodę miłosnych spisków. W głębi duszy uwielbiała go zresztą biedaczka z całego serca! Nie potrzeba chyba dodawać, że baronówna nie zawiodła nadziei Rudyckiego, pokochała go głęboko swoją pierwszą dziewczęcą miłością, która miała przetrwać niejedną, niezwykle ciężką próbę.

Baronównie, zakochanej po uszy w naszym oszuście, zależało bardzo na tym, aby uwielbiany przez nią mężczyzna zaczął bywać w domu jej rodziców. Niemniej Rudyckiemu zależało na tym samym. Miał wprawdzie trochę wątpliwości, czy znajdzie się ktoś ze stałych gości baronostwa, kto by go zechciał do ich salonów wprowadzić. Zbyt szeroko był już znany w Warszawie i to z wielce niepochlebnej strony. Jednakże znalazł się pewien adwokat nazwiskiem Górzecki, częsty gość w domu Bülowów, który jakkolwiek znał Rudyckiego zaledwie bardzo powierzchownie (znajomość ta datowała się z czasów jakiejś wesołej hulanki), nie wiedział jednakże o nim nic specjalnie złego i na usilne

nalegania młodego człowieka poparte ujmującym uśmiechem zgodził się wprowadzić go do Bülowów. Zostawszy przedstawionym rodzicom oplątanej przez siebie dziewczyny, stał się Rudycki stałym gościem w ich domu. Po pewnym czasie stało się jasne, że młody człowiek bywa w charakterze konkurenta. Rodzice zwrócili się przeto do adwokata G. z prośbą o udzielenie im informacji o jego przyjacielu. Pan G. w odpowiedzi zastrzegł się przede wszystkim, że bynajmniej nie jest przyjacielem Rudyckiego, którego zna jedynie powierzchownie, jako znakomitego tancerza i czarującego w towarzystwie człowieka. Nie mógł natomiast powiedzieć zatroskanym rodzicom, jakiego rodzaju stanowisko zajmuje Rudycki i skąd czerpie swe dochody, słowem nie był w stanie zaspokoić ich zrozumiałej ciekawości w sprawach dla rodziców panny będącej na wydaniu najżywoźniejszych. W jednym tylko punkcie mógł im pan G. dać stanowczą odpowiedź, a mianowicie, że Rudycki bynajmniej nie jest adwokatem, za jakiego w salonach von Bülowów uchodził. Wiadomości te rzuciły cień na stosunek baronostwa do pseudokonkurenta, którego poczęto traktować w sposób chłodny i wymuszony. Rudycki rychło to odczuł i powiedziawszy sobie: *aut-aut*⁴, oświadczył się jak najformalniej o rękę panny Krystyny. Państwo Bülow odmówili w sposób stanowczy i zdecydowany, przy czym dali mu niedwuznacznie do zrozumienia, że nie życzą sobie, aby bywał nadal w ich domu.

Jakoż oszust przestał odwiedzać dom baronostwa, ale planów swoich bynajmniej nie wyrzekł się. Owszem spotykał się w dalszym ciągu z panną Krystyną po kryjomu na ulicy, w cukierniach i parkach.

Pewnego wieczoru wybrał się do teatru, kiedy jedną z łóż zajmowała baronówna z braćmi. Rudycki siedział w krzesłach, przypadkiem zaś miejsce obok niego zajął znajomy mu z jakiejś zabawy obywatel ziemski, z którym nie omieszkał przywitać się i przypomnieć jego pamięci. Podczas antraktu panowie powstali z miejsc, by rozejrzeć się po

widowni. W pewnej chwili Rudycki złożył głęboki ukłon siedzącej w łoży baronównie, która przesłała swemu ukochanemu promienne spojrzenie i uśmiech. Obywatel poszedł wzrokiem w kierunku, w którym kłaniał się Rudycki i oniemiał z zachwytu.

– Panie, – zawołał wreszcie – kto to jest ta prześliczna panna?

– Podoba się panu? – zapytał z uśmiechem zadowolenia Rudycki.

– Czy mi się podoba? Ależ jestem po prostu oczarowany. Takiej delikatnej cery nie widziałem jeszcze nigdy w życiu!

– Czyżby? A więc skoro jest pan tą dziewczynką oczarowany, jak pan powiada, to możesz ją pan mieć! – oświadczył z zimną krwią Rudycki.

– Ależ panie, to niepodobieństwo! To być nie może, aby ta szlachetna uroda miała być jedynie pozorem!

– Niepodobieństwo? A więc dobrze! Gotów jestem stanąć do zakładu z panem, że to niewiniątko zgodzi się do pana przyjechać. O tysiąc rubli, zgoda?

– Tysiąc rubli? Ależ zgoda, tylko w głowie nie chce mi się pomieścić, aby...

Obywatel był zupełnie oszołomiony. Nie mogąc się uspokoić, począł nalegać na swego towarzysza, aby wyznaczył termin rozstrzygnięcia zakładu. Rudycki, zastanowiwszy się chwilę, rzekł:

– Dzisiaj jest poniedziałek, otóż proszę wysłać konie na godzinę szóstą po południu we czwartek na stację w Pruszkowie (rozanielony obywatel miał w tych właśnie stronach znaczny majątek ziemski). Jeżeli przyjadę sam, przegrałem do pana tysiąc rubli, natomiast jeżeli przywiozę ze sobą tę pannę, która zrobiła na panu takie niezwykle wrażenie, to pieniądze są moje. Zechce pan również odesłać mnie niezwłocznie na kolej, bowiem wieczór we czwartek mam zajęty.

Zakład tedy stanął. Zachwycony rozkoszną perspektywą obywatel zaprowadził po przedstawieniu Rudyckiego na kolację do restauracji, gdzie usilnie na niego nastawał, aby wyjawiał nazwisko owej czarującej

istoty. Jednakże Rudycki oparł się żądaniom pana dziedzica, otaczając osobkę panny Krystyny pewnym woalem tajemniczości, co bynajmniej nie powinno było wpłynąć ochładzająco na kochliwego obywatela.

Nazajutrz widział się Rudycki z baronówną. Był bardzo wymowny. Oświadczył, że skoro rodzice nie chcą zgodzić się na ich związek, to należy postawić ich wobec faktu dokonanego. Baronówna, bez której życie nie przedstawia dla niego żadnej wartości, musi opuścić, bezwzględny dom rodzicielski, a on umieści ją tymczasem u swojego dobrego przyjaciela, obywatela ziemskiego z okolic Pruszkowa. Gdy zaś pierwsza burza przeminie, poproszą rodziców o błogosławieństwo, którego z obawy skandalu nie będą im mogli odmówić. Dziewczyna rozpląkała się rzewnie, stanąwszy na rozdrożu pomiędzy rodzicami i ukochanym mężczyzną, ale – ulegając przekonywającym perswazjom nikczemnika – zgodziła się wreszcie. Jakżeż nie miała ufać człowiekowi, który był dla niej wszystkim?

W dzień krytyczny od godziny trzeciej po południu przechadzał się po Alei Róż mocno zdenerwowany, pomimo całej swej czelności, Rudycki. Zdawał sobie sprawę, na jakie niebezpieczne przedsięwzięcie odważył się. Zbliżała się godzina czwarta, a baronówny jeszcze nie było. Czy zaszło coś nieprzewidzianego? Może kobiecym instynktem przeczuła nikczemny podstęp swego kochanka? A może doznała strachu przed śmiałym krokiem, na jaki namawiał ją Rudycki i teraz płacze w swoim pokoju, nie mając sił na decyzję?

Rozterka Rudyckiego skończyła się nagle. Z Alej Ujazdowskich wychyliła się zgrabna sylwetka baronówny, idącej śpiesznie w stronę ukochanego. Rudycki panował już nad sobą w zupełności. Na wstępie obrzucił biedną dziewczynę gradem wymówek za spóźnienie. Ale panna Krystyna żadną miarą nie mogła przyjść wcześniej, przyjechali bowiem krewni z zagranicy i nieobecność jej w takiej chwili zwróciłaby uwagę. Wreszcie, widząc, że czas mija i domyślając się niepokoju ukochanego,

wymówiła się okropnym bólem głowy i prosząc, aby nikt do niej nie wchodził, zamknęła się w swoim pokoju, skąd wkrótce udało jej się wymknąć cichaczem na ulicę.

Szczegóły te opowiedziała Rudyckiemu w dorożce, tuląc się do niego z obawy i drżąc przed oczekującym ją szczęściem. Rudycki był małomówny i jakiś ponury. Chwilami niedobry uśmiech skrzywił mu wargi. Zajechali na dworzec i wybrawszy pusty przedział, wsiedli do wagonu. Na stacji w Pruszkowie czekały już na nich konie. Po godzinnej jeździe znaleźli się w siedzibie owego rozkochanego obywatela, który zobaczywszy upragnioną kobietę pod swoim dachem, nie chciał własnym oczom wierzyć. Nie posiadał się przy tym ze szczęścia na myśl o czekającej go uczcie miłosnej, którą zawdzięczał nie komu innemu, tylko Rudyckiemu. Toteż – gdy ten, odprowadziwszy go na stronę, sprowadził go z obłoków prośbą, aby zechciał uiścić się z przegranej kwoty i odesłać go niezwłocznie na kolej – obywatel bynajmniej nie miał mu tego za złe, lecz, poprosiwszy go do swego gabinetu, wypłacił mu tysiąc rubli i pożegnał jak najkordialniej. Nędznik schował pieniądze i udał się do salonu, gdzie czekała baronówna. Prosił ją, aby nie niepokoiła się i była dobrej myśli, on zaś w interesie ich wspólnego szczęścia musi wracać do Warszawy, aby przekonać się naocznie, jakie wrażenie zrobiła na rodzicach i znajomych jej ucieczka z domu rodzicielskiego.

Po wyjeździe Rudyckiego nasz obywatel, jakkolwiek nieco zdziwiony smutkiem swego czarującego gościa, zadysponował wykwinaną kolację, poprosiwszy uprzednio baronównę, aby tymczasem zechciała trochę wypocząć w przygotowanym dla niej pokoju. Gdy zaś służący powiadomił go, że wieczerza gotowa, nasz adonis uśmiechnięty, wyfraczony i woniejący, promieniejący szczęściem i zadowoleniem z siebie samego, zapukał do pokoju Baronówny. Po wypiciu paru kieliszków stał się wielce rozmowny, a pod koniec kolacji zaczął w sposób obcesowy zalecać się do wystraszonej panienki. Gdy umizgi

gospodarza stały się już zbyt natrętne i niedwuznaczne, baronówna, dotknięta do żywego jego zachowaniem, oświadczyła wyniośle, że narzeczony jej mylił się widocznie, uważając go za swojego przyjaciela i człowieka honoru, ale gdy powróci, to potrafi rozprawić się z niewczesnym zalotnikiem. Nasz obywatel, jakkolwiek nieco podchmielony, osłupiał. Ale po chwili doszedł do przeświadczenia, że jest to udany opór dzierlatki, która przy pomocy podstępu chciałyby jak najwięcej od niego wyłudzić. Toteż nie myślał ukrywać prawdy.

– Zechce pani przyjąć pod uwagę, – oświadczył przerażonej baronównie – że Rudycki bynajmniej nie jest moim przyjacielem. Czy pani jest jego narzeczoną, w to nie chcę już wchodzić, mogę tylko wyjaśnić, że za to, iż pani jest teraz u mnie, zapłaciłem mu i zapłaciłem dobrze!

Nieszczęsna panna była jak spiorunowana. Jednakże zdobyła się na szczerość i opowiedziała swojemu wielbicielowi całą prawdę o sobie, a przerażenie jej i rozpacz były tak nieudane, że ten zmiarkował, iż tak on, jak i niedoświadczona dziewczę padli ofiarą nikczemnych machinacji oszusta. Gdy zaś baronówna odkryła swe nazwisko, skonfundowany obywatel nie wahał się dłużej, ale uprosiwszy ją, aby zechciała obcesowość jego puścić w niepamięć, kazał natychmiast zaprzęgać.

Okolo północy znalazła się splakana dziewczyna w mieszkaniu rodziców w towarzystwie swego stropionego wielbiciela, który był teraz dla niej pełnym najgłębszego szacunku i współczucia towarzyszem.

W pałacyku baronostwa panowało jak najdoskonalsze zamieszanie, matka rozpaczała, a służba biegała po wszystkich pokojach, powiększając jeszcze zamęt. Zjawienie się bladej baronówny uśmierzyło tę burzę. Towarzysz jej prosił o chwilę rozmowy na osobności. Wyznawszy całą prawdę podał na swe usprawiedliwienie, że sam stał się ofiarą niesłychanego oszustwa, po czym pożegnał się i odjechał.

Jak zareagowali nieszczęśni rodzice na postępek córki, czy obrzucili ją wymówkami, czy też starali się ukoić jej boleść – o tym kronika milczy.

Dziwna wszelako jest psychika zakochanych. Zdawałoby się, że po niecnym, łajdackim uczynku Rudyckiego powinna była baronówna pogardzić nim, jako człowiekiem plugawym i niegodnym jej, który sponiewierał pierwsze jej dziewicze, pełne zaufania uczucie. Tymczasem zaślepiona dziewczyna nie tylko nie przestała go kochać, lecz także w dalszym ciągu widywała się z nim potajemnie, darząc go niemniejszą, niż poprzednio miłością. Rzecz prosta, że mając taki wpływ na baronównę, mógł Rudycki z łatwością jej wytłumaczyć, że w całej tej sprawie jest zupełnie niewinny, że to ów obywatel zemścił się na niej i na nim, za to, że nie mógł nic od niej uzyskać. Baronówna uwierzyła tej opowieści, bo uwierzyć w nią chciała. W jej oczach kochanek jej był przecież wcieleniem rycerskości, nie tylko męskości i urody.

Strapieni baronostwo postanowili uwolnić się od łotra, prześladowającego w nikczemnych celach ich córkę i unieszkodliwić go. Zamierzali mianowicie zwrócić się z prośbą o pomoc i opiekę do oberpolicmajstra warszawskiego. Na razie jednak zwlekali z dnia na dzień, bojąc się rozgłosu i idącego z nim w parze skandalu. Byli przy tym do tego stopnia nieostrożni, że o zamiarach swych powiadomili córkę, która w najwyższej obawie o swego kochanka pobiegła czym prędzej do niego, aby go uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie. Ten już jej od siebie nie puścił, lecz wystosował do baronostwa listultimatum, żądając zezwolenia na małżeństwo jego z panną Krystyną i grożąc w przeciwnym razie skandalem. Jednakże tym razem plany Rudyckiego pokrzyżował sprytny lokaj Bülowów, który potrafił wytropić siedzibę niedobrej pary. Baronostwo zdołali odebrać swą nierozważną córkę z rąk szantażysty bez uciekania się do pomocy policji.

Nazajutrz po tym fakcie udał się baron do oberpolicmajstra z prośbą o opiekę przed bezczelnym opryskiem. Gdyby baron opowiedział był wszystko, co mu było wiadomo o Rudyckim, to niewątpliwie zostałoby wszczęte śledztwo, które wyciągnęłoby na światło dzienne inne nieczne jego postęпки i pozwoliło na unieszkodliwienie łotra na czas dłuższy. Jednakże pan Bülow, lękając się widocznie skandalu, poprzestał na szczegółach, mogących jak najmniej skompromitować jego córkę. W każdym razie opuścił gabinet szefa policji, będąc w posiadaniu dokumentu, na mocy którego mógł zarządzić niezwłoczne aresztowanie Rudyckiego bez uprzedniego uciekania się do władz.

W nocy tegoż dnia baron długo nie mógł zasnąć. Rozterka wewnętrzna i troska o ukochaną córkę nie dawały mu zmrzyć oczu. Około pierwszej po północy z pokoju baronówny, sypiającej stale ze swą guwernantką, dały się słyszeć jęki. Zaniepokojeni rodzice pobiegli czym prędzej do sypialni córki. Panna Krystyna była zupełnie zdrowa, chociaż nieco dziwna i nieswoja. Natomiast guwernantka wiła się po prostu w okropnych boleściach. Od czasu do czasu następowały torsje. Baron, chcąc przynieść ulgę chorej, zaaplikował jej małą dawkę morfiny, po czym guwernantka odzyskała przytomność, twierdząc stanowczo, że nie ma pojęcia, co jej do tego stopnia mogło zaszkodzić, jadła bowiem to, co wszyscy domownicy. Baron, nie chcąc zostawiać córki samej z chorą, zasiadł w fotelu w panińskim pokoju. Po pewnym czasie późną już nocą usłyszał jakieś podejrzanе szmery, dochodzące z salonu. Słyszał wyraźnie, jak otwierano okno, podłoga skrzypiała, słowem najwidoczniej gospodarował tam ktoś nieproszony. Baron nie był tchórzem, więc – pomimo próśb córki, aby nie narażał się – skierował swe kroki w tamtą stronę, stąpając bezszelestnie w swych nocnych pantoflach po dywanach. Znalazłszy się w drzwiach salonu, przystanął koło portiery i, namacawszy kontakt, przekręcił go. Jasne światło zalało salon, pośrodku którego stał... Rudycki we własnej osobie. Jeżeli na ten, bądź co bądź,

niespodziewany widok baron osłupiał, to przyznać należy, że Rudycki bynajmniej nie stracił zimnej krwi. Owszem, skłonił się swobodnie baronowi.

– Ha, tym razem nie udało się – oświadczył z cynicznym uśmiechem.
– Ale to jeszcze nic straconego. Przyszłość przed nami, prawda, panie baronie? Tylko nie próbuj pan, – tu uśmiech zniknął nagle z jego twarzy, a ton nabrał groźnych akcentów – nie próbuj pan mówić o tym nikomu. Rychło pożałowałby pan swego czynu, a cały świat dowiedziałyby się, że pańska śliczna córeczka jest moją kochanką! Czy tylko moją? Może i ów obywatel spod Pruszkowa mógłby coś o tym powiedzieć. Do widzenia. Sądzę, że nie mam już co tutaj dłużej robić, a co pan o tym myśli, panie baronie?

I skłoniwszy się z wyszukaną elegancją kipiącemu bezsilną złością baronowi, skierował się do holu. Po chwili nie było go w pałacu. W jakim celu zjawiał się Rudycki, zostało to między nim i baronem.

Niewesołą noc spędził baron. Przemyślawszy sprawę na wszystkie sposoby, doszedł do przekonania, że nie zdoła sprostać bezczelności takiego opryszka, jak Rudycki, który miał ogromne atuty w rękę, a nic do stracenia. Ranek zastał pana von Bülow na nogach, wymęczonego przejściami ubiegłej nocy i niewyspanego, ale z gotową decyzją. Jakoż, pomimo oporu córki, wysłał ją tegoż dnia jeszcze z matką za granicę, a sam – spieniężywszy swoje nieruchomości w Warszawie i zlikwidowawszy pośpiesznie interesy z wielkimi dla siebie stratami – w dziesięć dni później podążył za nimi. Bruk warszawski, dzięki Rudyckiemu, zbyt mu już palił stopy.

Rudycki zaś, uniknąwszy bezkarnie odpowiedzialności za swe nieczne czyny, grasował w dalszym ciągu w Warszawie, szukając nowej ofiary.

W owym czasie znana była w pewnych sferach niejaka Leonier – Francuzka, aktorka kabaretowa i zarazem właścicielka teatrzyku ogródkowego Eldorado, który po pewnym czasie sprzedała i założyła

kabaret Aquarium przy ulicy Chmielnej. Również Wodewil na Nowym Świecie należał ostatnio do niej. Rudycki, będąc stałym bywalcem ogródkowych teatrzyków, zaprzyjaźnił się z obrotną Francuzką, a wyczuwszy u niej większe pieniądze został jej oficjalnym kochankiem i doradcą w sprawach teatralnych. Po pewnym czasie nikt go już z tych sfer nie tytułował inaczej, jak „panem dyrektorem”. Wszakże Leonier, jako właścicielka i kierowniczka teatrzyku siłą rzeczy była nazywana przez podwładny jej personel „panią dyrektorową”, ergo była w tym pewna logika. Zresztą przyznać należy, że Rudycki, zaaklimatyzowawszy się na dobre w kabarecie, począł istotnie zajmować się jego sprawami. A że był człowiekiem rzutkim i energicznym, było to z korzyścią dla przedsiębiorstwa. Próbował również sił na polu literackim, nawet z powodzeniem wystawiwszy w Wodewilu parę własnych sztuczek, które cieszyły się uznaniem publiczności. Leonier, kobieta niemłoda już, dla której wiek balzakowski należał do wspomnień, szalała po prostu za Rudyckim. On zaś korzystał rzecz prosta ze spóźnionych szarów Francuzki, wyłudzając od niej pieniądze pod rozmaitymi pretekstami. Wszakże huczne zabawy kosztują wiele, a któż miał pokrywać ich koszt, jeśli nie bogata Leonier?

Francuzka była powszechnie uważana – aż do czasu poznania się jej z Rudyckim – za jedną z najbogatszych kobiet w Warszawie. Majątek swój miała ulokowany w kilku bankach w gotówce, papierach państwowych i akcjach. Biżuteria jej, a zwłaszcza wspaniałe brylantowe butony⁵, były powodem żółtaczk niejednej z zazdrosnych pań. Przy skutecznej pomocy Rudyckiego zasoby te poczęły jednak szybko topnieć. Wytrawna i doświadczona kobieta nie była w stanie oprzeć się żądaniom Rudyckiego, kochała go bowiem prawdziwie, głębokim uczuciem starzejącej się kobiety, z czasem zaś zaczęła przed nim odczuwać obawę. Gdy razu pewnego odmówiła jednakże swemu godnemu kochankowi pieniędzy, widząc, że przy takim jego trybie życia, nie starczy ich już na

długo, uderzył ją, po czym żadaną kwotę od przerażonej kobiety otrzymał. Był to niejako precedens, bowiem od tej pory zaczęły się pomiędzy nimi dzikie sceny zawsze na tle pieniędzy. On ich żądał, ona odmawiała. On ją bił bezwzględnie, brutalnie, a ona?... ona posiniaczona i nierzadko pokrwawiona ulegała.

Po niedługim czasie wszystkie zasoby Francuzki, jej gotówka, papiery procentowe i część biżuterii poszły w świat, przefiltrowane przez zachłanne kieszenie Rudyckiego. Nienasycony kochanek zaczął teraz natarczywie dopominać się spieniężenia reszty biżuterii. Leonier, chociaż późno, ale wreszcie oprzytomniała. Z całego bardzo znacznego majątku pozostały jej tylko drobne szczątki. Wszystko straciła na człowieka, który ją bił i oszukiwał bez skrpułów z innymi kobietami, nie dając jej w zamian dobrego słowa. Doszedłszy do smutnych, ale trzeźwych wniosków, zebrała całą energię i uciekła do Lublina. Wściekły kochanek pośpieszył za Francuzką, która bojąc się spotkania z nim, w porę uwiadomiona o jego przyjeździe, wyjechała do Łodzi. Tam jednakże w jednym z hoteli znalazł ją Rudycki. Zażądał wydania mu biżuterii, a gdy Leonier kategorycznie odmówiła, powalił ją na łóżko. Francuzka broniła się rozpaczliwie. W pewnej chwili Rudycki, już to uląkłszy się odpowiedzialności, już to w pasji zwierzęcej walki, dobył z kieszeni rewolwer i jednym strzałem strzaskał kobiecie głowę. Po czym, doprowadziwszy swą garderobę do porządku, zabrawszy zrabowaną biżuterię, zamierzał się ulotnić. Jednakże w chwili wyjścia został aresztowany, służba bowiem, zwabiona hałasem walki, zdążyła wezwać policję. Widząc, że tym razem nie ujdzie mu na sucho, szybki jak zawsze w swych czynach Rudycki przyłożył rewolwer do skroni i zastrzelił się zanim zdołano mu przeszkodzić.

Człowiek niezwykle hojnie obdarzony od natury, który nie umiał jednak swych zdolności wykorzystać ku dobremu i grzązł w błocie, sam wymierzył sobie sprawiedliwość...



o książce *Salonowy bandyta*

Warszawska rodzina Rudyckich cieszyła się dobrą opinią. Bogobojni i prawi ludzie wychowali dwie córki, które wyszły za mąż i kontynuowały tradycję dbania o domowe ognisko. Dopiero najmłodszy syn – Józek przysporzył rodzinie niemało problemów. Bystry i wyjątkowo przystojny chłopak szybko nauczył się zjednywać sobie ludzi i wykorzystywać swoje atuty. Jednocześnie pociągało go wielkomięskie życie. Wybierając hulaszczy tryb życia potrzebował coraz większych nakładów finansowych. Przez to przyjmował intratne, ale coraz mniej moralne stanowiska. Dokąd zaprowadzi go nieustanna chęć zabawy?

Opowiadanie kryminalne oparte na faktach. Wieloletni nadkomisarz Policji Śledczej Ludwik Kurnatowski dzieli się z czytelnikami wspomnieniami z pracy. Zdradza, jakimi prawami rządził się ówczesny świat kryminalny i kim byli jego przedstawiciele.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

- 1 łac. i towarzyszy [kor.]
- 2 łac. Pieniądz nie śmierdzi [kor.]
- 3 fr. dama do towarzystwa [kor.]
- 4 łac. Albo-albo [kor.]
- 5 fr. Buton - kolczyk w kształcie guzika lub ozdobny guzik [kor.]